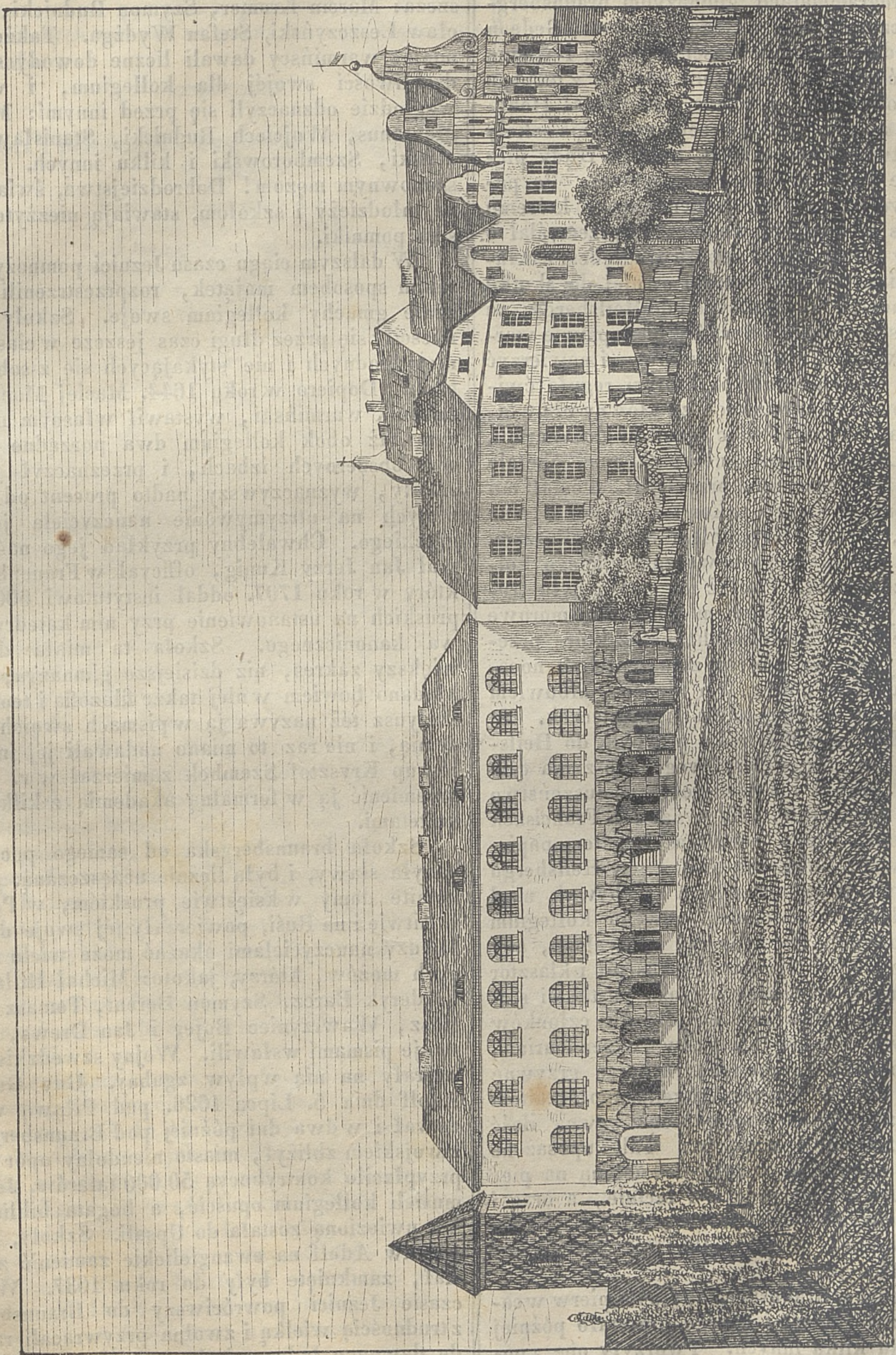
Przyjaciel Ludu.

ROK OSMY. No. 16. Leszno, dnia 16. Października 1841.



Gimnazyum w Braunsbergu, niegdyś kollegium jezuickie.

Gimnazyum w Braunsbergu, niegdyś kollegium jezuickie.

Od niejakiego czasu programmata szkólne w państwie pruskiém zawierają ciekawe monografie rzeczy miejscowych, rzucające nie małe światło na dzieje ogólne narodu. Między innemi w programmatach gimnazyum braunsbergskiego uczony i zacny jego dyrektor Gedeon Gerlach udzielił publiczności obszerną i ważną wiadomość o téj szkole, która nas nie z jednego względu obchodzić powinna. Kardynał Hozyusz, mówi autor, uczuł potrzebę założenia szkoły w biskupstwie warmińskiém, którego rządy pieczołowicie i po ojcowsku sprawował. Po powrocie swoim z soboru trydenckiego, któremu przez czas niejaki przewodniczył, przemyślał o tém, jakby ustawy tegoż soboru względem zakładania seminaryów w dyecezyi swojéj do skutku przyprowadzić. Zwołał synód do Heilsberga, na którym postanowiono założyć w biskupstwie warmińskiém wyższy instytut naukowy, i powierzyć go pieczy zakonu Jezuitów, którym reguła ćwiczenie młodzieży w naukach za główny obowiązek kładła. Wezwał więc Jezuitów do Warmii, a Jakób Lainez, drugi generał zakonu, chętnie się do życzeń kardynała przychylił. Posłał mu kilku członków swego zakonu z Rzymu i tyluż z Niemiec, wraz z Krysztofem Strombeliuszem, którego na przełożonego nowo zakładanego kollegium przeznaczył. Podróż ich pełną była trudów i przykrości, albowiem powietrze morowe srożyło się w wielu okolicach, przez które przejeżdżać wypadało; nie raz zmuszeni byli nocować wśród słoty pod gołém niebem, albowiem zabraniano im wstępu do wsi i miasteczek. Na początku Lutego 1564. roku przybyli do Heilsberga, a Hozyusz z cierpliwego znoszenia tylu przykrości poznał ich gorliwość, posłuszeństwo i prostotę obyczajów. Kardynał Jan Franciszek Kommendoni, który natenczas Legatem papieskim u dworu polskiego będąc, w Heilsbergu u przyjaciela swego Hozyusza przebywał, miał wielki udział w założeniu nowego kollegium w Braunsbergu. Na synodzie uchwalono, aby Jezuitom oddać w tém mieście kościół i klasztor franciszkański, od dawnego czasu pustkami stojący. Na utrzymywanie dwudziestu członków towarzystwa i tyluż kleryków w seminarium, wyznaczono 1200 grzywien, rachując grzywnę po groszy 20. Prócz tego przekazano Jezuitom inne jeszcze summy i naznaczono pewną ilość zboża i drzewa opałowego. Tak uposażone kollegium otworzyło szkołę podzieloną na pięć klas, w których po grecku i łacinie, a oraz i innych w owych wiekach zwyczajnych przedmiotów uczono. Papież Pius V. potwierdził dzieło to Hozyusza.

Kollegium w Braunsbergu było najpierw w całéj Polsce założonem, i z niego powstało późniéj w tym kraju kilka innych. Tworzyły one z początku viceprowincyą, do któréj i kollegium braunsbergskie liczono; ale gdy późniéj prowincyą litewską utworzono, przyłączono je do téj prowincyi. Dochody kollegium przez legaty i zapisy pomnożyły się niezmiernie w krótkim przeciągu czasu. Do największych dobroczyńców jego należeli biskupi miejscowi, a zwłaszcza: Marcin Kromer, Szymon Rudnicki, Wacław Leszczyński, Stefan Wydżga. Także Kanonicy warmińscy dawali liczne dowody szczodrobliwości swojéj dla kollegium, i w tym względzie odznaczyli się przed innymi: Michał Montanus, Wojciech Rudnicki, Stanisław Bużeński, Szemborowski i kilku innych. Cześć szanownym mężom! Dobrodziejstwa, świadczone młodzieży i szkołom, stawiają niezżyte czasem pomniki.

W dalszym ciągu czasu Jezuici pomnożywszy takim sposobem majątek, rozprzestrzenili znacznie gmachy kollegium swoje. Szkoły atoli mieściły się przez długi czas jeszcze w ciasnych, niewygodnych i nie stykających się z sobą izbach. Dopiero w roku 1644. Maciéj Montanus, kanonik warmiński, wystawił własnym nakładem tuż obok kollegium dwa porządne domy o 8 obszernych izbach, i przeznaczył je na szkoły, wyznaczywszy nadto procent od 5000 złotych na utrzymywanie nauczyciela języka greckiego. Chwalebny przykład jego naśladował Jan Jerzy Kunig, officyał w Frauenburgu, który w roku 1707. oddał instytutowi 6000 zł. pruskich na ustanowienie przy nim katedry prawa kanonicznego. Szkoła ta miała daleko większy zakres, niż dzisiejsze gimnazya; wykładano bowiem w niéj także filozofią i teologią. Hozyusz też nazywa ją w pismach swoich akademią, i nie raz to miano nadawali jéj inni, a biskup Krysztof Szembek zamierzał w r. 1738. przemienić ją w formalną akademią z kilku fakultetami.

Szkoła braunsbergska od samego początku nabyła sławy, i była licznie uczęszczaną. Znakomite domy w księstwie pruskiém, w Polsce, w Litwie i na Rusi, powierzały jéj swoje dzieci. Między nauczycielami okazać może wielu uczonych mężów, którzy, jakoto: Michał Hillavius, Fryderyk Barcz, Szymon Berent, Tomasz Klagius, Wawrzyniec Bojer i Jan Drews, imię swoje pismami wsławili. Wojny szwedzkie wywierały na nią wpływ zgubny. Gdy Gustaw Adolf dnia 5. Lipca 1626. pod Piławą wylądował i w dwa dni późniéj pod Braunsberg się z wojskiem zbliżył, miasto nieudolny opór swój przypłaciło kontrybucyą 50,000 talarów, Jezuici musieli kollegium opuścić, a bogata biblioteka ich uwiezioną została do Upsali. Szkoły, które Gustaw Adolf na ewangielickie zamienić zamyślał, zamknięte były do roku 1637. W tym czasie Jezuici powróciwszy do Braunsberga, z trudnością wielką i zwolna przywracali rzeczy do dawnego ładu; szkoła zaś ich niemogła już

odzyskać utraconéj świetności. Nie mniéj ucierpiało kollegium i szkoły w drugiéj wojnie szwedzkiéj i za Karola XII. Toż samo w latach 1734., 1736. i w czasie wojny siedmioletniéj. Tak częste klęski sprawiły, że gmachy kollegium zaczęły się walić, i Jezuici przymuszeni byli pomyśleć o wzniesieniu sobie nowego kollegium, które rycina powyższa przedstawia, a które w nowszych czasach na gimnazyum przeznaczone zostało.

Port i marynarka angielska w Plymouth. (R. 1839.)

„Próżno patrzę zadziwiony
Na gmachy, warowne baszty,
I jak las zgłębi morza wznoszące się maszty,
Na mieszkańców miliony,
Wszystko nie miłe i mgliste,
Cofa myśl zawsze w dziedziny ojczyste.“
J. U. Niemcewicz.

„*On cither hand*
Like a long wintry forest groves of masts
Shot up theis spires, the bellying sheet between
Possess'd the breery void, the sooty hulle
Steer'd sluggish on, the splendid barge along
Row'd regular, to harmony, around,
The brat, light skimming, stretch'd its oary wings
While deep the varions voice of fervent toil
Thom bank to bank increased, whence ribb'd with oak
To bear the British thunder, blask and bold,
The roaring vessel, rush'd into the main.“
Thomson.

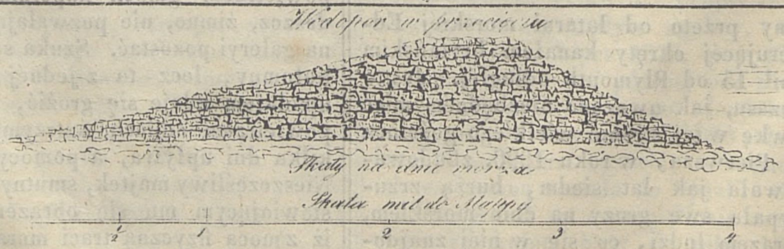
Hrabstwo Devon, jedno z najżyzniejszych i najpiękniejszych części Anglii, w położeniu romantyczném i klimacie łagodnym, bogate tak w zabytki starożytne, jako też szczyci się nowymi pomnikami. Hrabstwa Kornwal, Somerset i Dorset sąsiadują ze strony lądu; kanały brystolski i angielski biją o jego zachodnie i południowe brzegi. Z dwóch części, na które jest podzielone, różnych co do klimatu i okolic, w południowéj znajduje się jego stołeczne miasto Exiter, a o mil kilkadziesiąt Plymouth, miasto portowe, które jest przedmiotem niniejszego artykułu. Aby poznać ostatniego położenie, zdaje się, iż uważane przy wejściu do portu ze strony Francyi, najlepiéj na rzut oka okazać może całość, i w szczegóły późniéj wejść pozwoli.

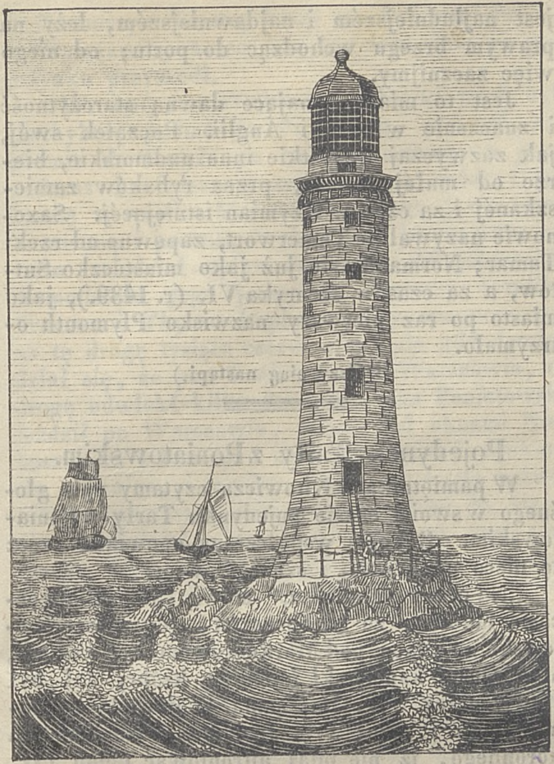
Zacznijmy przeto od latarni morskiéj Eddyston, kierującéj okręty kanałem brytańskim płynące, mil 15 od Plymouth odległéj. Jestto trzecia od czasu, jak uważano niezbędném mieć jaką skazówkę w téj stronie wielkiego gościńca morskiego. Pierwsza, w roku 1696. zbudowana, nie trwała jak lat siedm, burzą zrzucona, rozsypała swe gruzy na dnie morskiém, grzebiąc zarazem ludzi, co się w niéj znajdowali. W lat 6 postawiona inna, trwała pół wieku, lecz i ta przez nieostrożność dozorców ogniem podobnego losu doznała. Teraźniejsza, w roku 1770. zbudowana przez P. Smeaton, jest zadziwiającym pomnikiem sztuki i talentu architekta; zadziwiającym, powtarzam, zważywszy miejsce gdzie stoi, i trudności, jakie wiatry i bałwany stawiały w czasie jéj budowania. Leżąc na jednéj z wielu skał, kanał brytański przerzynających, lubo już wiele największych burz przetrwała, przecież dotąd jest nie uszkodzoną, i zdaje się, iż i wiekom potomnym przyświecać będzie. — Zbudowana w kształcie ogromnego dębu (jaki w istocie miał dać myśl pierwszą architektowi), wkorzenia się głęboko w skały fundamentem swoim, za pomocą dzwonów morskich robionym. Cała z granitu popielatego, od spodu do wierzchołka stopniowo zwężając się, ma 100 stóp wysokości, a 26 w średnicy. Wierzchołek, ozdobiony galeryą, ma właściwą latarnią ośmioboczną, któréj framy i kopuła są z metalu, tak, iż w żadnéj części nie ma materyałów palnych. P. Smeaton powiada, iż gdy w czasie jéj budowania Anglia była w wojnie z Francyą, jeden z kapitanów francuzkich napadł to miejsce, i uprowadził wszystkich rzemieślników robotą zatrudnionych. Przybywszy do Francyi, Anglicy zostali odesłani do fortecy, zostawiając kapitana okrętu w oczekiwaniu nagrody lub pochwały od swego króla. Wkrótce jednak, z niemałém wszystkich zadziwieniem, kapitan został wtrąconym do więzienia, a uwolnionych Anglików, odesłano z bogatymi darami do kończenia swéj roboty. Ludwik piętnasty, dając ten rozkaz, miał powiedzieć, iż lubo jest w wojnie z Jerzem, nie jest z całą ludzkością. Z początku dwóch ludzi miało powierzony dozór nad latarnią, i w niéj mieszkało, późniéj jednak smutny przypadek okazał potrzebę większéj liczby. Kilkanaście lat temu, śmierć nagła jednego, zostawiła kolegę w krytyczném położeniu. Obawiając się, aby nie był obwinionym o zabójstwo, nie śmiał rzucić ciała do wody; lecz zostawił je w mieszkaniu, wyglądając z niecierpliwością łódki, która zwykła co dni piętnaście latarnią odwiedzać i żywność przywozić. Po dniach kilku jednak opadłe morze nie pozwoliło żadnéj z lądem komunikacyi, a po kilkunastu ciągłe burze przystęp do latarni zrobiły zupełnie niepodobnym. Ciało psuć się zaczynające, nieznośném powietrzem gmach napełnia; okropne wiatry, deszcz, zimno, nie pozwalają biednemu dozorcy na galeryi pozostać. Szuka schronienia w środku kolumny, lecz ta z jednéj strony trzęsieniem, upadkiem zdaje się grozić, z drugiéj zepsutém powietrzem oddech wstrzymuje. W tym stanie kilka dni upływa, a pomocy żadnéj nie widać. Nieszczęśliwy majtek, smutnym codziennie przedstawiającym mu się obrazem przejęty, czuje, iż z mocą fizyczną traci moralną, i zaledwie powinność niezbędną dopełnić może. Trzydzieści pięć dni mija, a łódki żadnéj jeszcze nie widać; w rozpaczy, głodzie i słabości upada w kąt je-

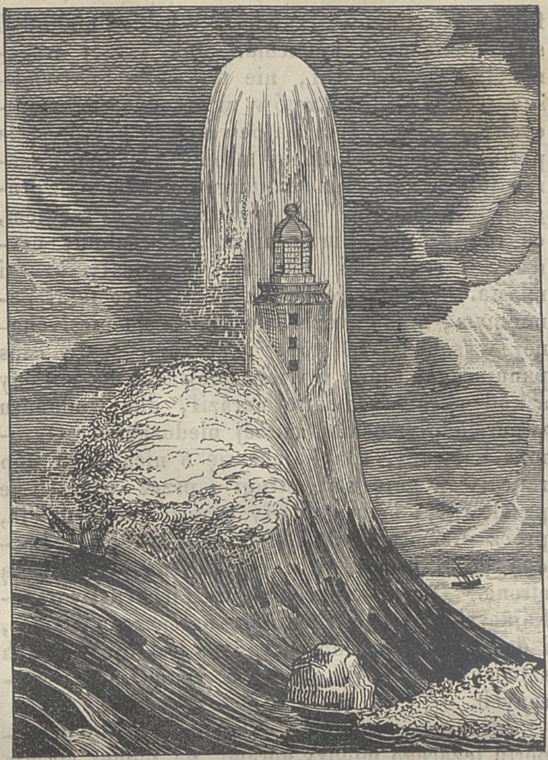
Plymut, Stonaus, Devonport i port do nich należący.

(NB. Miejsca i nazwiska są ortografią polską i angielską wyrażone.)









Morska latarnia Eddyston.

dnéj izby, oczekując losu swojego kolegi; zaniedbuje nawet ogień i zmylone okręty na rozbicie naraża. W téj ostateczności dają mu się słyszeć jakieś głosy, lecz słabość ruszyć mu się nie pozwala. Byłto główny nadzórca ze swymi ludźmi, który po wielu nadaremnych próbach wylądowawszy nakoniec, został zdziwiony niezwyczajną cichością mieszkania, a bardziéj jeszcze nieznośnym odorem. Wkrótce jednak ciało zgniłe jednego, a ledwie dające znak życia drugiego, wytłumaczyło smutną scenę. Natychmiast ostatni został wziętym do szpitala, lecz po długim czasie zaledwie mógł odzyskać zmysły i zdrowie. Odtąd trzech pełni służbę, z pozwoleniem, co rok na przemian przepędzenia kilka tygodni na lądzie.

Zbliżając się do Plymouth, skała nazwana Minston (Mew-Stone), wśród morza uderza płynącego oko, i wkrótce wodopór (Breakwater) daje się widzieć. Wodopór jestto wał kamienny długi, stojący na środku morza, w kształcie wywróconego na bok czołna, o trzy mile angielskie od miasta odległy, a ćwierć od lądu po obu stronach końców leżącego.

Zrobiony dla zabezpieczenia portu od bałwanów i jesiennych wzbierań morza (tides) mimo niebezpiecznych brzegów dla ukrytych skał w tém miejscu, robi przedport (Sound) plymucki wygodnym dla największych nawet okrętów. Dzieło to godne najwyższego podziwienia, któremu żaden port w Europie nie ma podobnego, niewyjmując nawet Cherbourg; jest pomysłem dwóch inżynierów angielskich, PP. Rennie i Whidby. W roku 1812. zostało zaczęte przez rzucanie na dno morza w wyznaczoném miejscu ogromnych odłamów skał, okrętami z pobliskich brzegów przynoszonych. Tym sposobem po kilku latach utworzony wał w linii prostéj, liczy długości 1760 łok. ang., wysokości 14, szerokości u spodu 120, u wierzchołka 16. Jest on z szarego marmuru, na powierzchni kamienie w kwadrat ciosane, spojone cementem, tworzą postać drogi bitéj. Boki po obu stronach są pochyłe, i ku dnu morskiemu spadają; końce z okrągła ku portowi się łamią; w środku nakoniec ma szerokie wschody dla wygodnego lądowania w czasie opadłego morza. Lubo nad tém dziełem śmiałości człowieka, w początkach 700 ludzi pracowało, aby go w lat 6 ukończyć, po kilku jednak latach mając dopięty główny cel, t. j.: zniszczenie pędu morza przy wchodzie do portu, liczba robotników została zmniejszoną i dzieło teraz zwolna ku końcowi postępuje: na wschodnim krańcu ma być latarnia morska, koło której dzisiaj pracują. Wodopór ten skończony kosztować będzie 1,180,900

funtów szterlingów; i zawierać w sobie 40,000,000 stóp kubicznych kamienia. Jak wyżéj wspomnieliśmy, ten wał, nie tylko jest największą wygodą dla okrętów w przedporcie stojących, lecz zarazem najpewniejszą ochroną dla portu. Kiedy w jednéj stronie wodoporu morze jest w najwyższym stanie poruszenia, z drugiéj jest spokojne jak w sadzawce. Przedtém, co rok prawie burze niezliczone szkody czyniły, i rozbitymi okrętami okrywały brzegi miasta. W roku jednak 1824., wielce tutaj pamiętnym, mimo wezbrania morza do niesłychanéj wysokości 18 stóp, i uraganu w ów czas panującego, który w wielu miejscach na miliony szkód okręty rozmaite naraził, dla wodoporu w porcie plymuckim żadnéj niedoznano. Ogromne bałwany, rozbijające się o niego, 40 stóp rzucały w górę swe strugi i przez wierzch je przelewały; nieuszkodziły przecież tego dzieła, prócz przeniesienia kilkudziesiąt kamieni, każden do 8 beczek ważący, z jednéj na drugą stronę. Dwieście okrętów, bezpieczeństwa szukających, zupełne schronienie natenczas znalazło, i dowiodło, jak dobroczynnym jest ów łańcuch sztucznych gór, ręką ludzką wśród morza rzuconych.

Minąwszy wodopór, wchodzi się do przedportu leżącego między górami, po jednéj stronie lasem i parkiem okrytych, po drugiéj zielonością nigdy nieginącą. Wśrodku widzimy wysepkę i przy niéj port na dwa ramiona rozchodzący się, jakoż trzy miasta: Plymouth, Stonhouse i Devonport wpółkolu i wzdłuż jego brzegów na górach leżące. Rzeka Plym, dająca nazwisko miastu pierwszemu, tworzy ramię wschodnie; rzeka Tamar tworzy ramię zachodnie i port właściwy, gdzie leży miasto ostatnie z arsenałem morskim. Trzeba jednak uważać, iż nim się przystąpi do Plymouth, wspomniana wysepka wielkości 3 morgów, będąca jedną ze skał największych widzialnych otaczających te miasta, leży o kilkaset staj od punktu ich środkowego, to jest Stonhausen, i jest miejscem, gdzie dwie rzeki Plym i Tamar wpadają do morza. Ta wysepka, zwana św. Mikołaja, od kaplicy niegdyś tam będącéj, albo Drake od sławnego admirała tego nazwiska 16 wieku, który ją ufortyfikował, była jedyną obroną miasta. Za czasów Karola I., kiedy Kromwel dał przykład państwom monarchicznym zrzucania królów z tronu konstytucyjnie, z małą załogą (r. 1642) długie oblężenie wytrzymywała. Dzisiaj kilka tylko armat wałowych i kilku artylerzystów ją zajmuje, i nic nie ma w sobie godnego uwagi, prócz pieca, w którym ogniste kule do palenia okrętów nieprzyjacielskich w 8 minutach mogą być rozpalane.

Weźmy teraz pod uwagę po szczególe te miasta, ich historyą, położenie i zakłady godniejsze wspomnienia. Razem wzięte, liczą 100,000 mieszkańców: Plymouth (wymawiaj Plimut) jest najludniejszém i najdawniejszém, leży na prawym brzegu wchodząc do portu; od niego więc zacznijmy.

Jest to miasto, mające dawną starożytność i znaczenie w historyi Anglii. Początek swój, jak zwyczaj wszystkie inne nadmorskie, bierze od małéj wioski, przez rybaków zamieszkanéj i za czasów Rzymian istniejącéj. Saxonowie nazywali je Tamerwort, zapewne od rzeki Tamar; Normandowie już jako miasteczko Suttów, a za czasów Henryka VI. (r. 1439.), jako miasto po raz pierwszy nazwisko Plymouth otrzymało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pojedynek Tarły z Poniatowskim.

W pamiętnikach Kitowicza czytamy opis głośnego w swoim czasie pojedynku Tarły z Poniatowskim. Rękopis współczesny opowiada rzecz tę nieco odmienniéj i szczegółowiéj:

„Na przód pojedynku,“ mówi, „immediata occasio takowa, że Nieboszczyk, gdy areszt królewski na placu pod Markuszowem był zaszedł, albo raczéj kanclerski imieniem króla, dał był słowo przez JW. Jmć pana Wojewodę sendomirskiego i przez JW. Jmć pana Kuchmistrza koronnego, iż nie miał affrontować domu JW. Książąt IchMciów Czartoryskich, co przynajmniéj o publicznych affrontach rozumieć się miało, przeciw temu jeszcze nie zdał się wykroczyć Nieboszczyk, że prywatny list z Markuszowa dosyć Jmci pana Poniatowskiego i Książąt Czartoryskich łżący, napisał do Warszawy do swego Jmci Księdza Kostkowskiego, habitu tylko jeszcze non charactere Księdza, który to list kazał mu pokazać w Ujazdowie JW. Jmć panu Branickiemu, Hetmanowi polnemu koron. Więc ta sama clausula w liście wyrażona, żeby tylko dwom był pokazany, świadczy, że Nieboszczyk nie miał woli, aby ten list był publikowany, który jednak X. Rostkowski w Warszawie zaraz przez kopije rozsiał, potém po całéj Polsce. O ten list Jmć pan Podkomorzy koron. we Lwowie rekwirował amice JW. Jmć pana Wojewodę sendomirskiego i JW. Jmć pana Kuchmistrza koron. Jmć pan Wojewoda sendomirski napisał do JW. Jmci pana Wojewody lubelskiego, perswadując, aby takich pism poprzestał, i Kostkowskiego łając. JW. Jmć pan Wojewoda lubelski odpisał na to JW. Jmci panu Wojewodzie sendomirskiemu extreme żwawo, z wielkiemi obelgami, osobliwie Jmci pana Poniatowskiego, i zakonkludował, że to nie Kostkowski pisze, ale Adam Tarło etc., i tego listu kopie po Polsce rozesłał. Po tym liście Jmć pan Podkomorzy wziął rezolucyą jechania do Warszawy, gdzie i przybył, podobno nie bez wiedzy Drezna, gdyż z Drezna pisano tu do hrabi Tarnowskiego, aby się nie implikował w pojedynek między Jmć panem Wojewodą lubelskim, i Jmć panem

Podkomorzym koron., który ma być temi dniami w Warszawie, a ten list trzeciego dnia po pojedynku przyszedł.

JW. Jmć pan Wojewoda lubelski miał był niechybnie jechać do Piotrkowa, ztamtąd sekretnie do Paryża po znaczną summę za jego podczas konfederacyi szkody, po order i po szarżą w wojsku Marszałka polnego jemu assekurowaną i pewną, wybiedz na krótki czas, o czém wiedział tylko Jmć pan Wujakowski, Kommissarz jego jeneralny, Quintar cyrulik, Francuz i Thynse kupiec, który mu pożyczył na tę drogę tysiąca czerw. złot.; ale gdy dowiedział się, że pan Poniatowski w Warszawie, tę drogę odwlekł kilka dni. Jmć pan Poniatowski jeździł po Warszawie, etiam pod oknami Nieboszczyka z Korfem i z dwiema ludźmi, rankontru szukając, i między officerami wiele mówił z Dyzawantażem Nieboszczyka, chcąc by się o tém dowiedział. Na ostatek szóstego, czyli siódmego dnia, posłał dwóch officerów gwardyi, Kachnica i Melfforta, do JW. Jmci pana Wojewody, których kommissya taka była, i odpowiedzi swoje opisał ad publicum sam JW. Jmć pan Wojewoda, i kartkę o tém dosyć zelżywą zaraz w piątek 13. Martii po Warszawie rozsiał, chciał dać dokument, że nie on areszt złamał był przed tym, rezolwowany nie dawać satisfakcyi, ale konsyderacya, żeby to bojaźni nie przypisano, w nim przewalczyła. Po téj kartce pojechał do Ujazdowa, gdzie kilka godzin bawiąc, nikomu się nie zwierzył, tylko odjeżdżając wieczorem, prosił Jmć pana Goreckiego Pułkownika, aby to doniósł JW. Książęciu Jmci Wojewodzie krakowskiemu, z którym więcéj się nie widział, i pojechał Jmć pan Gorecki. Jmć Ksiądz Referendarz i my perswadowaliśmy cośmy mogli, ale darmo; Jmć pan Gorecki osobliwie o odwleczenie pojedynku instabat, gdyż on jako komendant z sekundy wymówił się, a sekundanta znaleść nie możono. Na ostatek Jmć pana Szawłowskiego, zda mi się, Majora Sybilskiego, Jmć pan Wojewoda sobie ledwie wynalazł. Przyjaciela więc żadnego takiego nie było, któregoby zdaniu i powadze mógł deferre Nieboszczyk, i ta okoliczność najnieszczęśliwsza była. Jmć pan Wojewoda testament napisał, w którym (co uwagi najgodniejszego jest), są te słowa: „Tracą na skończeniu życia mojego przyjaciele moi; może być, może i ojczyzna sobie kiedy przypomni, żem jéj swego czasu mógł być kiedy utilis, ale nieodbite wyroki boskie, i akceptować i pokorném sercem poddać im się potrzeba.“ Testament zaś zakończył temi słowy: „Nieprzyjaciołom moim całém sercem dla miłości boskiéj wszystkie urazy daruję. Reszta testamentu o uspokojeniu długów; co krócéj wyraził w liście do Jmci pana Wujakowskiego, prawdziwie podziwienia godnym; exhortowaliśmy go przynajmniéj, aby na placu moderacyą zachował, i to tandem obiecał. Rano u Kapucynów Mszy ś. słuchał, i spowiadał się. Byliśmy u niego więcéj jak dwie godziny przed samym wyjazdem, gdzie z X. Prowincyałem dosyć długo o rzeczach do duszy należących rozmawiał, że nie idzie z umysłem zabicia; dosyć się remorsus na sumnieniu wydawał, często do Pana Boga wzdychał. Melfort był znowu przysłany, pistolety nie szpady proponując. Wojewoda odpowiedział, że do niego, jak wyzwanego, broni obranie należy; że jak się zfatygują na szpady, pójdą i do pistoletów. Pan Gorecki perswadował mu, aby się po pojedynku szczerze pogodził z Poniatowskim i z domem; odpowiedział na ostatek, że obaczy po konjunkturze. Powierzchownie zdał się być dosyć wesoły, i nic nie apprehendujący. Gdy na koniu wyjeżdżał, prosty lud obserwował, że koń nie chciał wyniść z panem, i z biedą go wyprowadzono. Przejeżdżając w polu wedle Krucyfixa, powiadają, że się moment zatrzymał z pokłonem, i łzy mu stanęły w oczach.

(Koniec nastąpi.)

Rozmaitości.

Ślepy o kolorach.

Redaktor Tygodnika literackiego, który ani słowa po czesku nie umie, i w życiu swojém ani jednego dziennika czeskiego w ręku nie miał, w Numerze 43. pisma swego umieściwszy Wiadomości o Czechach, i wspomniawszy w nich o *Przyjacielu oświaty*, piśmie peryodyczném czeskiém, wykrzykuje swoim zwyczajem w przypisku: Nie jestto Przyjaciel z Leszna! — Nie jestże to prawdziwe, a zbyt częste (jak n.p. niedawno o Niesieckim i Gabinecie medalów) ślepy o kolorach Tygodnika literackiego?

Clegga powietrzna kolej żelazna.

Przed niejakim czasem wyszła w Wiedniu broszura pod tytułem: *K. K. patentowa powietrzna kolej żelazna Clegga*, zwracająca uwagę publiczności na ów ważny wynalazek, którego pierwsza próba przed kilku miesiącami całą Anglią zadziwiła, a którego praktyczne wykonanie całemu systematowi kolei żelaznych nowy nada kierunek. Siła poruszająca na tych kolejach jest powietrze. Między kolejami żelaznemi znajduje się główna rura; obok niéj w domkach do trzech mil angielskich od siebie odległych, stoją machiny parowe, poruszające pneumatyczne machiny do wyciągania czyli pompowania powietrza z owéj głównéj rury służące. W téj rurze umieszczony stempel ruchomy, ciśniony od powietrza atmosferycznego, pędzi w rozrzedzonéj pod nim powietrznéj kolumnie

i ciągnie za sobą wóz umocowany na kolei żelaznéj.

Korzyści z tego wynalazku, jeżeli się tylko w praktyce da zastósować, są niezmierne. Mniejszy koszt i oszczędzenie materyału palnego, nienarażenie się na niebezpieczeństwo tak częstych explozyj, a co najwięcéj, że za pomocą téj siły i pod górę jechać będzie można, co w zakładaniu kolei żelaznych bardzo ważném jest ułatwieniem, zmniejszającém do połowy koszta; nareszcie zwiększona prędkość nie zawisła od pochyłości drogi. Rezultaty z tego nowego odkrycia trudne są do obliczenia. Przykład Anglii, budującéj obecnie podług tego systematu nową kolej, pod nazwą: *Birmingham Bristol Thomes function Line*, usunie wszelkie w téj mierze wątpliwości.

Trzej mistrze.

Spała dzika natura, konały i wieki,
A z niemi razem ludy, wspomnienia i dzieje,
Zmysłowy człowiek dusznéj nie zawarł powieki;
Roniąc wielkie pamiątki, zgłuszywszy nadzieje,
Widzi tylko obecność i szeroką twarzą,
Na któréj myśl nie gości, uczucia nie płoną,
Lecz zwierzęcość z srogością, żenią się, kojarzą,
Rozmierza przestrzeń pustą, przestrzeń nie zmierzoną,
I duma bez dumania, i w duszy swéj kréśli
Odbite skały, lasy, — ale nie zna myśli.

W tém stanął wieszcz na ziemi, on potęgą ducha
Wskrzesza ubiegłe lata, w ciało je obleka,
Ostateczne ogniwa ziemskiego łańcucha,
Łącząc z niebem, do Boga podnosi człowieka.
Odkrywa nieskończoność, i w jéj pyszne szaty
Przyozdobia stworzenie, cudną przyszłość roi,
Obudza śpiące duchy, sypie uczuć kwiaty,
Napełnia ziemię szałem i w nadzieję stroi,
A sam z kolebki świata i z rozwalin świata,
W nieśmiertelność skrzydłami Fenixa ulata.

Ale zaledwo ludy ożywione pieśnią
Uczciły hołdem wieszcza, wnet zzimną rozwagą
Pochyliwszy źrenicę nad grobową cieśnią,
I widząc nędzę swoję, widząc prawdę nagą,
Nazwały zapał kłamstwem a obłudą wiarę,
I niepamiętne darów swego wskrzesiciela,
Szanują pleśń zbutwiałą i bezczucie stare
Drwią z poezyi, znatchnienia, które Bóstwa wciela,
I mądre głupstwem, z zimna ciągnące zaletę,
Lodowatém szyderstwem krzyżują poetę.

I nie dziwno, bo święte poezyi natchnienie,
Samolubstwem zrdzewiałéj strony nie poruszy;
Ale przez łzy lub uśmiech, radość lub cierpienie,
Wpłynie do współczującéj, do współtkliwéj duszy,
I w niéj tylko obudzi te głosy, te jęki,
Które w głębinach serca uśpione drzymały.
W pustych czaszkach bez wdzięku przemigocą wdzięki,
Czuły czucie podzieli, dumny żądzę chwały,
A w całym różnorodnym słuchających tłumie,
Wieszcza, wieszcz jeden tylko pojmie i zrozumie.

Lecz jeźli wyrazami i gwarem języka
Poeta wyda myśli, uczucia wyleje,
Wtedy łacniéj przez zmysły w pierś zamysłową wnika,
I snadniéj ją obrazem jak mową rozgrzeje.
Obraz na zmysły działa, dziwi je, zachwyca,
A kiedy myśl pod słowem słabnie i karleje,
Tu mówią jasne oczy, czarujące lica,
I gra światła, i cienia i kwiatów kobierce
Zgodnym hymnem wpadają i w najtwardsze serce.

Malarstwo nie dla jednych pokoleń i ludów,
Bo powszechnym przemawia językiem natury,
I wskrzeszając umarłych, wśród dziwów i cudów
Wylata z ziemskiéj cieśni ponad mgły i chmury,
I tam Boga ująwszy w potędze i chwale,
Majestat jego w sztuki odbija krysztale.

Lecz malarstwo w przestrzeni, a nie w czasie żyje,
Pochwyci jednę chwilę, wiekom ją wydziera,
Wtéj chwili wszystko mieści, cały urok kryje,
A ta chwila wieczysta, nigdy nie umiera,
I gdy poezya zmiany ogarnia i lata,
Obraz znaocznia tylko jedno mknienie świata.

Lecz muzyka na wszystkich dusz grająca stronach,
Równém brzmieniem przemawia do serca i ucha;
Każde uczucie w boskich wydająca tonach,
Ożywia, i rozczula, i podnosi ducha.
Ona koleje wieków, i przestrzeń otoczy,
I jak czyste powietrze, którém myśl oddycha,
Okrąża świat dumania, stroi w dźwięk uroczy,
I sama huczna, groźna, znów tkliwa i cicha,
Wydzwonia każdy pomysł, uczucie podziela,
I nie wcieloną tęskność w swoję wrzawę wciela.

Tak wieszcz, malarz i muzyk mistrzowstwa potęgą,
W kościotrup świata ducha wszechmocnego wioną,
Skrzepłe ciało uczucia opasują wstęgą,
I w jego zimnéj pierśi na kształt serca płoną.
I często nie pojęci, nie znani od ludzi,
W głąb' się zwijają, żyją w sobie, lecz nie sobie;
Wzniosłość ich, śmiech obudza, szał ich wrzący nudzi,
Męczennicy z pogardą zalegają w grobie,
A kiedy już ich prochy czas swym zębem strawi,
Wtedy sława ich głośi, a świat błogosławi!

M. C.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)